

TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOŚI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ”	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ”
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie\$1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie\$2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azji 2.50
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIEM NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.	

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 25.

Chicago, Ills., 16 Grudnia, 1886 r.

Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Dokończenie.)

ROZDZIAŁ XXII.

Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem;

Chyba śmiercią bóle się ukoją;

Jeślim płochym obraził zapalem,

Tę obrazę krwią okupię moją.

Zacoś dla mnie tyle ulubiona?

Zacom z twojem spotkał się wejrzeniem?

Jednem wybrał z tylu dziewcząt grona,

I ta cudzym przykuta pierścieniem!

Mickiewicz.

To wynurzenie wzajemnych uczuć i otwarte wyznanie słabości własnej, przywiodło ulgę i wróciło spokojność Maryi. Szlachetny sposób postępowania Ruszczyca wzbudził w niej to uniesienie, które cnoty i świetne czyny w czulej duszy wzniecają. Do poważania, jakie zawsze dla niego miała, przyłączyła się wdzięczność i uwielbienie rzadkich przymiotów serca, a te uczucia były zapowiednią, jeżeli nie owej żywej

miłości, która urokiem swoim zachwyca i słodkiem marzeniem pieszczonemu szczęścia przyszele chwile życia otacza, to przynajmniej owego przywiązania, które uznanie zacności i rzadkich przymiotów osoby wzbudza, a przyjaźń w do- zgonną i jednostajną potrzebę serca zamienia. Odtąd zniknęły wszelkie namiętne wzruszenia, nie było już w sercu Maryi owej walki uczucia i powinności, lecz nie było także miłych złudzeń wyobraźni ani nadziei chwały. Przeszłość była dla niej żywym i świetnym obrazem, który zachwycał i smucił; a przyszłość pasmem pospolitego i spokojnego pożycia, którego jednostajne widoki nie zachwycały wprawdzie, lecz obok tego ani obawy ani smutku wzbudzały.

Niedługo nastąpiły gody weselne; Marya poszła do ślubu spokojnie bez żalu i obawy; bo stracona nadzieja świetniejszego losu była tylko stratą urojonych marzeń, a sposób myślenia i szczerze przywiązanie Ruszczyca było rękojmią niezachwianego szczęścia w pożyciu. Licznie zgromadzone obywatelstwo dzieliło spokojne szczęście nowożeńców, a dzień zawarcia dozgonnych ślubów był staropolskim zwyczajem dniem prawdziwie weselnym, z największą okazałością w domu podkomorstwa obchodzonym. Lecz nikt nie mógł przewidzieć, że niespodziany wypadek powszechną wesołość zamiesza i trwogę między goszczącymi wzbudzi.

Gdy właśnie najhuczniej brzmiała muzyka we dworze podkomorstwa, przybyło przed dziedziniec dwóch jeźdźców i trzeci służący za nimi; zatrzymali się przed bramą, zsiadli z koni, oddali je służącemu, a zakrywszy się sami obszernymi płaszczami, naprzód iść zaczęli. Będąc już na dziedzińcu, spostrzegli gromadę ludzi zebranych przed oknami i przypatrujących się goszczącym we dworze. Noc była ciemna i sprzyjała ich podstępny, jak się zdawało, zamiarom. Zdaleka widzieli światło z okien rozchodzące się po dziedzińcu i oświetające lud wieśniaczy, to z ciekawością na wesołe państwo poglądający, to płasający z okrzykami za odgłosem hucznej muzyki z otwartego okna do niego dochodzącej; lecz sami nie mogli być spostrzeżeni, bo wzrok wszystkich na dwór był zwrócony i przy powszechnem weselu nikt o czujności na złych ludzi nie myślał.

— Czekaj, nie idźmy dalej — rzekł jeden z nieznanym w przodku idący — tedy nie

można się zbliżyć do dworu, tu za jasno i zbyt wiele ludzi. Trzeba zejść z innej strony; idź za mną; oto płot, przez który łatwo przeleźć do ogrodu, tam zapewne nie masz nikogo, będziemy się mogli podsunąć pod okna bez obawy, aby widzieć goszczących, a wtenczas ci go pokażę.

Co powiedział to i wykonał wraz z towarzyszem swoim, i wkrótce stanęli pod zamkniętem oknem pokoju przytykającego do sali, w której tańczono, tak iż otwartymi drzwiami goszczących w tejże sali widzieć można było.

— Tutaj trzeba czekać cierpliwie, póki nam się nie pokaże — rzekł ten sam do swego towarzysza — przecież wyjdzie do tego pokoju.

— Ale jak się też weselą! — rzekł drugi — tam płasają i skaczą, a tutaj sędziwsze grono kolejny kielich wytrząsa. Patrzaj Pan, jak się kłaniają nawzajem, jak się ściskają, jak się to wino z tego kielicha przelewa na ziemię, znać już drżącą rękę pijącego. Szkoda, doprawdy, żebym miał to wino, które teraz napróżno po ziemi rozlewają... aż mi ślina do ust idzie.

— Takeśto spragniony trunku i zabawy!... dla mnieby każdy kielich z tego domu pochodzący goryczą był zaprawny.

— Patrzajno Pan, jak się to koło pijących rozstępuje; oto idzie cały polonez z tamtej sali do tego pokoju, okrąża pijących i będzie koło naszego okna przechodzić. A jaka to piękna para w przodku idzie! Jaka śliczna niewiasta, jaki dorodny tancerz!

— To on — odparł żywo pierwszy, chciwie wlepiając oczy w tańczących — przypatrz mu się dobrze. Widzisz jaka wesołość jaśnieje na jego twarzy; to ona przy nim... ach jakże piękna niestety! jak zachwycająca w tym godowym stroju; patrzaj co to za kibić, co za uśmiech anielski, jakie wejrzenie słodczy i szlachetności pełne! Patrz, jaka spokojność na jej twarzy, jak słodko pogląda na swego męża!... Tak, bo on już jest jej mężem... Przypatrz mu się dobrze, to jest Ruszczyca, to jest ten, którego ja szukam.

— Ach Panie — odpowiedział drugi — szkoda, dalibóg szkoda, że to wasz nieprzyjaciel. Jakkolwiek sprawny jestem do wszelkich wypraw, w których idzie o poszukiwanie krzywdy czyjej, żal mi doprawdy, gdy wspomnę, że mamy przerwać ich wesołość i smutkiem ten dom napelnić.

— Cóżto, ty się wahasz podobno? ty stchórzysz może? gdybym cię był znał lepiej, byłbym innego przybrał towarzysza. Ale teraz za późno; jam cię zapłacił i dobrze, musisz wytrwać przy mnie do końca; wszakże mi sam swoje usługi ofiarował, odwołując się do świadectwa tyłu panów, którym na sejmikach, zjazdach i w różnych przygodach szabłą twoją służyłeś.

— O ja się nie powstydzę ani zręczności ani odwagi mojej — odparł tamten — mnie widok Ruszczyca nie odstraszy, i będę wam służył, wtedy nawet, gdyby nas przemagająca siła oskoczyła miała. Ale dla tego wyznaję, iżbym wolał w każdej innej chwili, jak wśród wesela wyzywać pana młodego na pojedynek. Jestto najmilszy dzień w życiu, dzień pamiętny najwyższem szczęściem i rozkoszą, dzień w którym nowe zaczynamy życie; jakże to smutno, dzień taki w chwilę śmierci, a łożo weselne na grób zamieniać!

— Kto ci mówi, aby dla niego grób miał być przeznaczony? Nie przybyłem ja tutaj jako podstępny zbójca, nie chcę jego śmierci, lecz muszę dopomnieć się krzywdy mojej. Dla mnie nie masz przyszłości, im prędzej tem lepiej opuścić ten padół, na którym szczęście dla mnie jaśnieć nie chce. Dla niego później okropniejszego było pożegnanie świata i przecięcie pasma szczęśliwego pożycia.

— Ja zaś wolałbym kiedykolwiek indziej jak w dzień samego wesela rozstawać się z dopiero co pojętą małżonką. Ale kiedy tak chcecie koniecznie, Panie, cóż tedy czynić potrzeba?

— Idź prosto do dworu, wmięszaj się między goszczących; nie różnisz się strojem od innych, w tłumie nikt cię nie zważy. Miej na pilnem oku Ruszczyca, a gdy się oddali od innych, przystąp do niego i szepnij mu zręcznie do ucha: że Mondor na rozstajnych drogach czeka na niego. Oto masz kilka wyrazów z podpisem moim, które mu zobowiązanie się nasze na placu boju przypomną. Idź śmiało....

To rzekłszy spojrział w okno, i chwytając szybko za rękę towarzysza swego zawołał:

— Czekaj, nie chodź jeszcze.... widzisz go, oto wyszedł z tamtej sali — trzyma ją za rękę — kolejnym kielichem zajęci goszczący nie

widzą ich wcale. — Zbliża się ku nam; — patrz jak poufale sparła śnieżne ramię na jego barkach — widzisz ten wyraz smętnej czułości na całej jej postawie rozsiany. — Ściska mu rękę z czuciem; — pogląda rozrzuwionem okiem na niego, — patrz jak on ją tuli do łona.... to jego małżonka.... Łzy płyną po licach; — z kąd ten smutek wśród samej rozkoszy? — Czyliż niepojęte przecucie.... Ach nie chodź do dworu, czekaj jeszcze — nie przerywaj tej chwili szczęścia.... Otarła łzy napróżno stłumione — oddala się, wraca — już znikła.... Ach ja nieszczęśliwy!

— I my wróćmy, Panie, tędy na lewo, oto jest ścieżka, oto ten sam plot. — Przejdźmy cicho przez dziedziniec, za bramą czekają konie nasze.

Tak mówiąc, prowadził głęboko zamysłowego Mondora, który milczał posepnie i zdawał się ulegać namowię. Już byli blisko bramy dziedzińca, gdy się raptownie zatrzymał, jak gdyby się nagle ocucił; spojrział na dwór, z którego tłumnie okrzyki weselącego się przed oknami ludu do niego doszły; schwycił za rękę towarzysza swego, spojrział wzrokiem obłąkania i rozpaczy na niego, i rzekł groźnym głosem:

— Idź, wypełnij com ci polecił; czekam was na rozstajnych drogach.

To rzekłszy wybiegł za bramę, porwał konia z rąk masztalera, który w zadumaniu na płasających przed dworem poglądał, dosiadł szybko konia, ruszył naprzód, kazał spieszyć za sobą, i luźnego konia towarzysza swego za sobą poprowadzić. Cwałem przebiegł wieś całą, u karczmy zatrzymał się chwilę, kazał zatleć jedną pochodnię, których pęk służący u siodła miał wtroczone, i kazawszy mu świecić przed sobą, jakby dla ułatwienia podróży, pospieszył na umówione miejsce.

We dworze trwały tymczasem nieprzerwane tańce i wiwaty. Ruszczyca stał z Jordanem w końcu sali blisko drzwi wchodowych, z upodobaniem przypatrywał się Maryi, która z właściwą sobie zręcznością mazura tańczyła, i kiedy niekiedy przerywał to milczące zachwycenie wynurzaniem swojej szczęśliwości przed Jordanem.

To słodkie zadumanie przerwało lekkie ruszenie za ramię. Drgnął nieco, obejrzał się szybko i spostrzegł nieznanego sobie towarzysza Mondora.

— Panie! — rzekł tenże — przybył tu dworzanin królowej, który pragnie widzieć się z wami; kazał on mi doręczyć wam list ten, zawierający powody jego przybycia.

Porwał szybko list Ruszczyc, spojrział nań, schwycił mocno za rękę Jordana, szepnął mu coś do ucha, i wychodząc z nim razem z sali, zapętał idącego za nim szlachcica:

— A gdzie on jest?

— Niedaleko — odparł tenże stłumionym głosem — staj kilka za wsią na drodze ku Lwowu, gdzie figura przy rozstajnych drogach stoi. Broń i pochodnie, wszystko jest przygotowane.

— Dobrze — rzekł Ruszczyc, i pociągając za sobą Jordana, przeszedł przez przedpokój, a spostrzegłszy w nim Kulika zawołał na niego, kazał mu iść po broń własną i spieszyć za sobą w oznaczone miejsce; sam zaś z dwoma towarzyszami swymi przez dziedziniec ku wsi pośpieszył.

Lecz wierny sługa Ruszczyca, gotów zawsze wypełnić rozkazy pana swego, przeraził się tym, który mu był wydany; a obawiając się, ażeby się pan jego na nierówną walkę nie wystawiał, i przeczuwając jego nieszczęście, poszedł wprawdzie po pistolety, których pan żądał, lecz zamiast spieszyć za nim, wrócił do sali godowej, a trzymając broń zabójczą w ręku wpadł między koło tańczących i zawołał donośnym głosem: —

— Kto w Boga wierzy, niech mego pana ratuje!

Rozstąpili się wszyscy, wyraz trwogi osiadł na twarzach, stłumiono znakiem i okrzykiem głośną muzykę, otoczono Kulika, żywo zadawano mu pytania, a gdy wskazał miejsce, do którego mu Ruszczyc z bronią za sobą iść kazał, zerwało się kilkunastu młodzieży do szabel i z groźnym okrzykiem wypadli z pokojów.

W pierwszej chwili trwogi i pomieszania, gdy się wiadomość o niebezpieczeństwie męża o uszy Maryi obija, nie mogła znieść gwałtownego przerażenia i zemdląca. Lecz w krótcie ocucona, odzyskawszy przytomność wyrwała się z rąk trzeźwiących ją niewiast, i wołając przeźliwie: Gdzież on jest? — wypadła szybko z pokoju a spostrzegłszy w sieni Kulika tłoczącego się za tymi co najpierwsi wybiegli, schwyciła go za rękę i rzekła z mocą:

— Gdzież jest?... gdzie on jest... prowadź... biegnij.

Tymczasem stanął już był Ruszczyc z Jordanem na placu boju. Pochodnie już były zatlone i po dwóch bokach w ziemi utkwione. Rozpostarty płaszcz leżał przy nich na ziemi, a na nim para pistoletów. Masztalerz stał opodal trzymając konie, a Mondor chodził z założonemi rękoma po drodze w głębokiem zamyśleniu. Gdy usłyszał kroki idących zatrzymał się w miejscu, spojrział ponuro, lecz śmiało na zbliżających się, a spostrzegłszy Ruszczyca, skłonił lekko głowę i rzekł:

— Witam was Panie, byłem pewien, że mi nie odmówicie tej ostatniej przysługi i że będziecie pamiętali na przyrzeczenie niegdyś w Ujazdowskim lasku mi dane. Wybaczcie, że mniej dogodną chwilę do ukończenia rozprawy naszej obrałem; lecz nie mogłem prędzej, a później byłoby jeszcze gorzej.

— Mniejsza o to, — odparł Ruszczyc zrzucając z siebie ferezyą, którą był wziął po drodze. — Każda chwila dobra, gdy idzie o zmycie hańby, lub okrócenie zuchwałości. Nie tracmy czasu na próżnych słowach; mnie koniuszy nadworny Jordan, a Waszmości bez wątpienia ten przysłany mnie szlachcic za świadka i towarzysza służyć będą. Uczynicie co do was należy.

To rzekłszy, odstąpił kilka kroków i czekał spokojnie wypełnienia przygotowań do pojedynku.

Wtem dał się słyszeć za nimi hałas, który się coraz bardziej wzmacniał, aż wyraźnie zgłębki biegających ludzi i szczęk broni usłyszano. Obejrzał się Ruszczyc i spostrzegł z daleka połyski dobytých szabel, które się w niepewnem świetle pochodni, rzucanym na ściemnioną okolicę, migwały. Domyślając się co to być może i słysząc groźne okrzyki zbliżających się, które zagładą przeciwnikowi jego groziły, zerwał się do szabli, Jordanowi toż samo uczynić zalecił, zbliżył się ku Mondorowi, stanął, między rozpalonemi pochodniami, obracając się ku nadbiegłym już goszczącym wstrzymał pałaszem zapęd pierwszych i zawołał:

— Hola! panowie bracia; wstrzymajcie się, jesteście w błędzie, mniemacie może, iż tu jaka zasadzka przeciw mnie jest zrobiona i spieszycie w mojej obronie; lecz tak nie jest. Dziękuję

wam za ten dowód przychylności waszej, ale rączcie ustąpić i powrócić spokojnie do dworu, ja wkrótce między wami będę, skoro się tylko rozprawię z tym dworzaninem królowej, który i mnie z pewnego czynu sprawę zdać musi, i odemnie zadosyćuczynienia żądać ma prawo.

Nie zważano na to wezwanie Ruszczyca, i połysk szabel w górę wzniesionych, rozsiekanie zapowiadał Mondorowi, który stał spokojnie za zasłaniającymi go, Jordanem i Ruszczycem, i zuchwałem wejrzeniem zdawał się poniekąd wyzywać nacierających.

Przeraźliwy krzyk niewieści dał się zagnąć słyszeć wśród tego zgiewku. Obiegłszy wkoło skupionych nacierających i broniących, przybiegła Marya z rozpaczającym wyrazem, i błagalne wznosząc ręce stanęła między walczącymi.

Na widok niewiasty zatrzymali się wszyscy; spuszczone szable; Ruszczyca odstąpił na bok i odsłonił Mondora. Spostrzegłszy go Marya domyśliła się wszystkiego; wyraz zgrozy zajął miejsce trwogi, którą przejęta była. Zwróciła się ku niemu, wlepiła w niego wejrzenie wyrzutów i pogardy pełne, i rzekła z mocą:

— Tyżeśto przybył tutaj, najsroźszy mój prześladowco, ażeby przebrać miarę niegodziwości twojej? Nie dośćże miałeś pociechy z tylu zgryzot i dolegliwości, których z twojej przychyni doznałam, żeś jeszcze przybył w sam dzień godowy zabić mego małżonka? Jeżeliś krwi chciwy, uderz śmiało, Marya chętnie zginie za tego, który jej sławy bronił, a przez to oszczędzi tobie zbrodnią morderstwa na tym popełnioną, który tobie życie ocalił.

Mondor stał jak skamieniały, drżenie rąk i ust okazywało gwałtowność uczuć, które nim miotaly. Zebrawszy się nieco, rzekł do Maryi:

— Nie lękaj się Pani o męża twojego; on z tej walki jako zwycięzca, jako twój mściciel wyjdzie. Nie taję tego: zawiść i chęć zemsty przywiodły mnie tutaj; lecz ukryty przed wami

widziałem was razem. Widziałem rozrzewnienie twoje Pani; lzy mnie twoje rozbroiły. Jeżeli stanął na tym placu śmierci, przyszedłem tu na to tylko, abym tu wieczną ulgę cierpień moich znalazł i krwią własną zadane ci obelgi zmasał. Nie lękaj się Pani, Mondor zabójcą twego męża nie będzie.

— Więc ty chcesz — zawołał zrywając się żywo Ruszczyca — abym ja sromotne nazwisko twego mordercy przybrał! Chceszli, uniesion niewczesną łaskawością, darować mi życie, jakby to od ciebie zależało? Nie przyjmę tak hańbiącej mnie ofiary, w Bozkim ręku wszystko; stawaj na placu, mierz dobrze, a wy odstąpcie na bok.

— Mężu, — zawołała z rozpaczą Marya, klękając przed nim — ulituj się nad twoją Maryą.

— A ty Panie, — rzekła obracając się do Mondora — jeżeli chcesz zatrzeć pamięć zgryzot, których się stałeś przyczyną, jeżeli nienawiść moją chcesz w przyjaźń i wdzięczność zamienić, wyznaj żeś zbłądził i proś o przebaczenie tego, który się swojej tylko krzywdy upominał.

— Twoje przebaczenie! twoja przyjaźń Pani! — zawołał z uniesieniem Mondor, posunął się naprzód, jakby błagalne wznosząc ramiona i zwracając się do Ruszczyca, dodał:

— Mężu Maryi przebacz i bądź szczęśliwy.

— Wiwat! — krzyknęli wszyscy, a wśród okrzyków powszechnego wesela otoczono męża i żonę, szukano współzalotnika, aby wszystkich w tryumfie do godnego odprowadzić domu; lecz nie widziano Mondora; oglądano się za nim i gdy po daremnym wołaniu zrobiono chwilową ciszę, wtenczas usłyszano zdaleka tętent koni, czwałem po drodze pędzących, a później wystrzał, który się rozległ głucho po okolicy.

(Koniec)



KAZIMIERZ I MAGDOSIA.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH SIEDMNASTEGO STULECIA

— PRZEZ —

MIECZYŚLAWA Z POZNANIA.

(Ciąg dalszy.)

Potem jeszcze długo rozmawiał z młodym Kazimierzem, pouczając go by wytrwał. Od tego dnia Kazimierz, na nowo zaczął mówić pacierz, a gdy nań sułtan nalegał, aby przeszedł na religią muzułmańską, śmiało odpowiedział:

— Ja mego Boga, mej religii nigdy nie porzucę.

Rozgniewany tą odpowiedzią sułtan kazał zawołać sługi i oćwiczyć Kazimierza; poczem raz jeszcze go się zapytał, czy przejdzie na wiarę turecką. Lecz Kazimierz odpowiedział:

— Wolno ci wielki sułtanie karać mnie i biczować, lecz nie zmusisz, bym się przed twoim Bogiem i prorokiem pokłonił, bym został Turkiem. Wolę umrzeć, niż przestać być chrześcianinem i Polakiem.

Śmiała odpowiedź, a bardziej jeszcze stałość młodego chłopca, podobały się sułtanowi; chcąc jednak Kazimierza koniecznie nakłonić do religii mahometańskiej, rzekł:

Zostawiam ci miesiąc czasu do namysłu, a gdy czas ten minie, albo zostaniesz wyznawcą Mahometa, albo cię psom na pożarcie rzuczę.

To mówiąc odwrócił się sułtan, jak by nigdy nic nie zaszło, kazał Kazimierzowi nałożyć fajkę i poszedł do ogrodu używać wczasu w cienie altanie.

Przed wniściem do altany siedział Kazimierz i uważał, rychło go sułtan zawoła. Już blisko godzina mijała, a sułtan jeszcze spoczywał na miękkim dywanie, wtem zbliżył się ów ksiądz-ogrodnik i przywitał Kazimierza. Ostróżny

chłopiec odchylił gęste liście zarosłej altany, a przekonawsy się, że sułtan jeszcze śpi, opowiedział księdzu, jak mu sułtan kazał za miesiąc przejść na turecką religią. Kapłan stósowną nauką go pocieszył, wzmocnił we wierze.

— Pamiętaj me dziecię, — mówił kapłan, — że Jezus Chrystus wiele więcej za nas wycierpiał; proś więc Boga, by cię wspomógł swą łaską najświętszą, byś ze strachu przed groźbami, albo przed karą nie upadł we wierze świętej.

Chciał jeszcze więcej mówić dobry kapłan, lecz właśnie sułtan zawołał Kazimierza, który pospieszył na wołanie swego pana, a ksiądz poszedł w koniec ogrodu, do stósowniejszej pory odkładając przerwana rozmowę.

Już trzeci tydzień mijał od dnia, w którym sułtan zostawił Kazimierzowi miesiąc czasu do umysłu, gdy turecki cesarz ukończywszy dzienne prace — bo i sułtan jak każdy król lub cesarz ma zatrudnienie stósowne — szedł odwiedzić najukochańszą ze swoich córek imieniem Alina. Była to właśnie ta sama, której podarował był Magdosię. — Rzadko się Kazimierz widywał ze swoją towarzyszką niewoli, bo w pałacach sułtana, kobiety odzielnie mieszkają od mężczyzn, i chyba tylko przypadkiem spotkał gdzie Magdosię. Teraz dla zabawy Aliny, kazał Kazimierzowi cesarz ubrać się w czerwony kontusik, żółte buty, przypasać małą szabelkę i iść za sobą. W milczeniu przeszli kilkanaście pokojów pałacu sułtana, wyściełanych wielkimi kobiercami. W jednym z takich pokojów sie-

działa sułtanka Alina na miękkim kobiercu, a u jej nóg Magdosia, która opowiadała swej pani o ładnej Polsce. Opisywała jej nasze zawsze zielone lasy sosnowe, nasze w białą korę ubrane brzeziny ze spuszczone ku ziemi gałęziami, jak gdyby nad nami płakały, że nie wszędzie synowie jednej Polskiej ziemi żyją ze sobą w zgodzie. Dalej opisywała sułtance nasze dożynki, przyjemną, wiosną, bogatą jesień i przykrą zimę. Dziwiła się córka sułtana, czemu u nas śnieg pada, a ptaszki na zimę do innych ulatują krain. Ciekawie się też Magdosię o wszystko wypytywała, a ta opowiadała o domu, o ojcu co bronił ojczystej ziemi o matce co jęczy w tatarskiej niewoli, o wiosce rodzinnej, w której mieszkał dobry dziedzic. Długo gwarzyła dobrej sułtance, a w końcu całując ją w rękę, prosiła o pozwolenie wrócenia do Polski, do ojca do krewnych. Córka sułtana, do bra Alina, żałując, że Magdosia musiała opuścić wszystkie śliczności kraju rodzinnego, przyrzekała poprosić swego ojca o wolność dla niej.

— Ale wtedy — rzekła Alina któż mnie tak kochać będzie jak ty Magdosiu, któż mi tak ładne opowiadać gadki? Dawniej mamka opowiadała mi o trzech królach, o zaklętym królewiczu, o białej sułtance, lecz jej powiastki nie tak ładne jak twoja. Zostań u mnie a ja cię jak siostrę ukocham, a tam jako wieśniaczka będziesz musiała pracować od rana do zmroku.

— Ja się pracy nie lękam, — przerwała Magdosia, — byle być w Polsce kochanej — o moja śliczna, dobra pani, poproś swego ojca, by mnie uwolnił, by mi pozwolił wrócić do ziemi rodzinnej.

Właśnie gdy słów tych domawiała Magdosia, wszedł do mieszkania Aliny sułtan, a za nim Kazimierz. Trzeba wam wiedzieć, że każda z żon i córek sułtana ma swoje osobne sługi. Zważcie więc, co tam musi być sług i mieszkań, kiedy każdy sułtan oprócz teraźniejszego — miał aż trzysta żon! Do mieszkania kobiet sułtana zaś nie wolno wchodzić żadnemu mężczyźnie, prócz umyślnie do tego wyznaczonych stróży. Sam sułtan czasami tylko odwiedza swe żony lub dzieci.

Po krótkim przywitaniu pokazał sułtan Alinie dziwny strój polski, kazał Kazimierzowi prezentować szabelką, poczem nie zważając ani na Kazimierza ani na Magdosię, posadził Alinę na kolana, huśtał ją, bawił, rozmawiał z nią wesoło.

Magdosia tymczasem po cichu rozmawiała z Kazimierzem, opowiadała mu o swej pani, o swej nadziei rychłego uwolnienia.

— A skoro ja będę wolną, mówiła Magdosia, skoro wrócę do Polski, do Krakowa lub Warszawy, upadnę królowi naszemu do nóg i poproszę, aby panicza uwolnił z rąk tureckich.

— O moja Magdosiu, — przerwał jej Kazimierz, — pamiętaj jeżeli wrócisz do Polski, a matkę moją zastaniesz przy życiu, ucałuj jej rękę za mnie, powiedz że ja ją zawsze kocham, że pacierz tak jak mnie nauczyła zawsze odmawiam, że za nią za ojczyznę, za duszę ojca codziennie się modlę. — Uściskaj starego Jana, włodarza i całą gromadę pozdrów odemnie, powiedz im, że i tu o nich myślę, że ich kocham tak jak oni mego ojca kochali.

Przestał mówić na chwilę, a potem dodał:

— Uważaj, twoja pani, sułtanka, prosi teraz za ciebie.

W rzeczy samej Alina przypomniała sobie prośbę Magdosi, całując rękę sułtana rzekła:

— Jabym ojczuszka o jedną łaskę prosiła, lecz nie wiem, czy najdroższy ojciec wysłucha mej prośby.

— Ależ śmiało moja Alinko, — odparł sułtan, — naprzód daję ci moje cesarskie słowo, że prośbę twą, chociażbyś chciała pięciu set niewolników wypełnię.

— Tylko jedną, młodziuchną, słabą niewolnicę podaruj mi ojcze, — błagała sułtanka, — dozwól bym ją mogła udarować wolnością, za którą od dwóch lat wzdycha, pozwól bym ją mogła odesłać do jej ojczyzny, w której została ojca i brata.

— Chętnie się zgadzam na twoje życzenie, odparł sułtan, — lecz jeden kładę warunek, niech uwolniona, jeżeli dotychczas jeszcze nie jest muzulmanką, uzna mądrość Mahometa.

— Niewolnica ta nie chciała dotychczas mimo namowy porzucić chrześcijańskiego Boga, — wtrąciła nieśmiało Alina.

— Jaktó, — zawołał sułtan, — i moja najmilsza córa prosi o wolność dla niewiernej! Zkądże jest rodem owa niewolnica.

— Z północy, z dalekiej Polski — odpowiedziała sułtanka.

— Żądaj odemnie co innego, — przerwał jej sułtan, — bo Polki, co nie zapomniała o swej

ojczyźnie, jako cesarz nie uwolnię; nam trzeba całą Polskę zniszczyć, wywieść wszystkich mieszkańców w odległe stepy, bo gdyby nie bitna Polska, już by świat cały mówił po turecku.

Tak powiedział sułtan, a tak i dzisiaj powiadają Polski nieprzyjaciele.

Rozgniewany sułtan prośbą córki, powstał z dywanu, chciał uderzyć Alinę, lecz uważająca na wszystko Magdosią rzuciła się do nóg sułtana mówiąc:

— Mnie, nie córkę twoją, ukarż wielki władzco — ja to zasłużyłam na karę, bo dobra moja pani zmiękczonej moją prośbą ośmieliła się wstawić za nieszczęśliwą do możnego sułtana. Ukarż więc mnie, a nie odwracaj twego ojcowskiego oblicza od córki; — na mnie słabej niewolnicy wyrzej gniew twój najjaśniejszy władzco.

Spodobała się ta mowa sułtanowi bardzo i rzekł ściskając Alinę:

— Widzę że ta niewolnica jest godną twej łaski — pozwalam ci ją odesłać do Polski.

Uradowana Alina padła w objęcia ojca, podczas gdy Magdosią obmywała łzami wdzięczności stopy sułtana. Kazimierz z radości, że Magdosią wróci do Polski, zapomniał prawie o swej niewoli.

W kilka chwil cesarz pożegnał Alinę i wrócił do swych pokoi, — Kazimierz postępowal zwolna za cesarzem, oczyma żegnając się z Magdosią, bo i słówka nie śmiał mówić przy cesarzu.

Za dziewięć dni od tego pamiętnego dla Magdosi dnia miał wyjeżdżać poseł turecki na dwór króla polskiego, a z nim miała Magdosią wrócić do Polski. Gdy nadeszła chwila odjazdu, Magdosią rzuciła się do nóg Aliny, a płacząc, i prosząc, by jeżeli może wyjednała wolność dla Kazimierza, żegnała się ze swoją panią. Alina lubo cieszyła się, że mogła uszczęśliwić Magdosią, ze łzami w oczach żegnała swą niewolnicę, przyrzekła nie zapomnieć o losie biednego Kazimierza. Nie wiem jak długo trwałoby to pożegnanie tych dwóch prawie równo młodych dziewczynek, gdyby służebnice sułtanki prawie gwałtem nie były Aliny oderwały.

III. Powrót Magdosi do ojczyzny i postanowienie gromady.

Po kilku tygodniach podróży przez kraje tureckie, dalej przez Podole, Podlasie, Mazowsze, stanął wreszcie poseł turecki w Warszawie, stolicy rzeczypospolitej Polskiej. O! jakże Magdosi biło serce, gdy się ujrzała wśród swoich, gdy wejrzała na kochaną Wisłę. W dwa dni po przybyciu do Warszawy poseł turecki zawiózł Magdosię na zamek królewski; stał on tak jak dzisiaj nad Wisłą, tylko że wtedy inaczej tam było. Wtedy król polski tam przemieszkował, a dziś sługa cara moskiewskiego. Prowadząc Magdosię za rękę, pokornie stanął poseł sułtański przed tronem króla, oddał pokłon od swego cesarza, i ofiarował Magdosię królowi. Biedny myślał, że król polski panuje nad niewolnikami; nie wiedział że w wolnej Polsce wszyscy byli wolnymi, że nawet każdy kmieć, chociaż odrabiał pańszczyznę, był w swoim rodzaju wolnym.

Król polski podziękował za dobre chęci sułtana, a chcąc Magdosi dać stósowną opiekę, oddał ją zakonnicom na wychowanie lecz wpięrw wypytywał ją o zwyczaje tureckie, o jej rodziców, krewnych, o czas więzienia itp. Szczegółowo opowiadała Magdosią dobremu królowi, a w końcu zalewając się łzami prosiła łaskawego monarchę, aby jeżeli może postarał się o wolność dla Kazimierza. Król przyrzekł stósowne względem uwolnienia Kazimierza poczynić kroki, pisał sam do sułtana, lecz nim nadeszła odpowiedź, inne zaszły wypadki, a Kazimierz został w niewoli.

Magdosią po krótkim pobycie u zakonnicy, lubo jej się tam podobało, prosiła, aby jej pozwolono wracać do wioski rodzinnej, do ojca, krewnych. Zakonnice uznając słuszność prośby Magdosi, zezwalając na nią odesłały ją ojcu, którego już poprzednio o powrocie córki zawiadomiły. Na pierwszą wiadomość z radości rozplakał się poczciwy Wojciech Łozina i z utęsknieniem wyglądał jej powrotu, bo nie tylko córkę chciał ujrzeć, lecz i dowiedzieć się coś pewnego o żonie, o paniczu i dziedzicu. Nie wiedział co się z nimi stało, gdyż w walce z Tatarami ciężko ranny, został prawie bez zmysłów, nie widział jak ich Tatarzy uprowadzali. Od innych wieśniaków i wieśniaczek nie mógł się nic pewnego dowiedzieć. Jedni twierdzili, że Tatarzy

wszystkich wymordowali, inni że ich żywcem spalili.

Wreszcie doczekał się Wojciech Łozina powrotu swej Magdosi. Ile wtedy łez radości, ile dziękczynień do Boga, ile serdecznych tam było uścisków, któż wypowie? kto radość wiolski całej opisz? kto spamięta wszystkie zapytania, jakie jej zadawano? — Stary Wojciech pytał o żonę, lecz wiele o matce nie wiedział: —

— Matula w Krymie w niewoli u Tatarów, może jeszcze żyje, od lat trzech, od początku niewoli, jaszczem jej nie widział!

— A dziedziczka, nasza pani? — spytał ktoś z boku.

— Podobno jak mi panicz powiadał umarła, lecz może Bóg ją uratował! Tatar jakiś przywiązał biedną panią do konia, a ona omdlała padła na ziemię, koń ją włókł trochę za sobą po ostrych kamieniach, aż cała się pokrwawiła. Wtedy Tatarzyn nie chcąc by się koń męczył, odciął postronek... Może wśród stepu pół martwą dziki zwierz pożarł, a może o niezawodnie — dobrzy ludzie ją znaleźli, przytulili do siebie, to i siedzi gdzie na wsi u krewnych; a mnie się zdaje, że nasza pani żyć musi że tylko jej patrzeć.

— Ale panicz żyje? — przerwał chwilowo milczenie brat Magdosi.

— O nasz panicz żyje, widziałam go trzy tygodnie przed wyjazdem z Konstantynopola. Kazał mi nawet bym was wszystkich pozdrowiła, bym wam powiedziała, że on chociaż w dalekiej niewoli o was wszystkich myśli, że was kocha. Was włódarzu kazał przeprosić za wszelkie swe dawniejsze psoty.

Długo jeszcze rozmawiali wszyscy i cała już wieś się zeszła do chaty Wojciecha, by dzielić się jego szczęściem, a po długiej gawędzie zabrał głos stary Mateusz Chudyk i tak mniej więcej przemówił:

— Znam ja trochę świata, bo różnie się nieraz bywało, czy to z jegomością, Panie świec nad duszą, jego, co jeździł do swego stryja aż w niemieckie kraje, czy też gdy bił się z Tatarami, albo z panem Czarnieckim walczył przeciw Szwedom, aż przez morze na wyspę. Bywało się za młodych lat tu i tam, widziałem nie jednego człowieka, poznałem nie jeden naród, byłem i między Turkami i Niemcami i Szwedami, Moskalami, lecz z tych Turcy jaszcz nie najgorsi, z Turkami to jaszcz idzie, i gdybyśmy wszyscy chcieli, to by i Wojciecho-

wa i nasz kochany panicz jaszcz mogli wrócić do domu, jaszcz by się znalazł sposób.

— A toż chcemy, wszyscy chcemy — odpowiedziała cała gromada.

— Nie dosyć chcieć, trzeba jaszcz czynić, poświęcić się — rzekł znowu Mateusz.

— Oj prawdę mówił poczciwy starzec, nie dosyć chcieć jakiej rzeczy, trzeba i czynić. I dziecko co idzie do szkoły, chciałoby umieć co mu nauczyciel zadał, lecz musi się uczyć, musi pracować. I my wszyscy chcemy, żeby nasi bracia byli wolni, lecz nie dosyć chcieć, trzeba czynić po temu, trzeba się za to, co się chce, umieć poświęcić.

— Po krótkiej chwili milczenia, przez którą każdy rozważał czegoby właściwie od nich Mateusz wymagał, odezwał się sąsiad Wojciecha, Maciej:

— Nie troszcie się Mateuszu, powiedzcie nam tylko co mamy czynić, a wszystko wypełnimy, byle uwolnić panicza i poczciwą Małgorzatę, żonę Wojciecha.

— Wiem ja mój Macieju, — przerwał Mateusz, — że to co powiem chętnie zrobicie, że połowa gromady pójdzie za waszym przykładem, lecz tutaj trzeba, aby wszyscy popracowali, aby nikt się nie wymówił.

— O my wszyscy będziemy robili co nam każecie Mateuszu—zawołali ochoczo zgromadzeni.

— Dobrze, jeżeli wszyscy się zgadzacie, to słuchajcie co wam powiem, potem możecie się zapytać księdza plebana, albo też kogo innego, czy wam dobrze radziłem. — Wiadomo wam, bo i Magdosi o tem mówiła, że Turcy i Tatarzy ludzi sprzedają jak bydłęta. Chętnie więc sprzedadzą panicza i Małgorzatę, byle im zapłacić ile zechcą.

— A ileż to oni mogą żądać? — pytał nieśmiało ojciec Magdosi.

— Któż ich wie — może 300, może 600; a może i 2000 złotych wezmą za panicza; Małgorzata że stara, spracowana, wiele dla nich nie będzie wartą i taniej sprzedadzą.

Tak mówił Mateusz, a jeden z obecnych kiwając głową, rzekł:

— Cóż wam po myśli mój Mateuszu, zkadzie weźmiecie tyle pieniędzy? we wsi i stu złotych nikt nie znajdzie.

Trzeba i to wiedzieć, że dawniej pieniędzy mniej było między ludźmi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CYGANKA.

(Ciąg dalszy.)

To mówiąc wprowadziła chwiejącą się od osłabienia cygankę do chałupy, czemprędzej rozpałała suty ogień, a Wojciech tymczasem przyniósłszy parę snopków słomy, usłał wyborne posłanie za piecem, i położył na niem chorą.

Cyganka dziwnym tylko wzrokiem spoglądała po ubogich sprzętach chałupy i na krzątających się gospodarzy.

Wieść natychmiast rozeszła się po wsi o tem zdarzeniu, a jak to ludziska zawsze i wszędzie są ciekawi, nie jeden więc a szczególnie kobiety, to po to, to po owo się zamawiając, wstępował do Wojciecha, i wychodząc udzielał innym wiadomości; a w śmiech sobie obracając to zdarzenie, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, ażeby jakim datkiem poratować nieszczęśliwą.

Mocna to jest cygańska natura, dla tego też chora z największym apetytem wszystko zjadała, co sobie ujmując od gęby podała jej Wojciechowa, a na drugi dzień już tak przyszła do siebie, że zaczęła po chałupie łązić i rozmawiać to o tem, to o owem z gospodarzami.

Na trzeci dzień przywalało się dziewięcioro do wsi cyganów, a kiedy im ludzie powiedzieli, że się jedna z ich kompanii znajduje u Wojciecha, natychmiast wszyscy churmem zwalili się do chałupy.

Wojciechowa bała się żeby co nie ukradli, bo to takim gościom nie koniecznie trzeba wierzyć, ale zaraz na wstępie jeden stary, ślepy cygan, którego prowadził chłopak za rękę, oświadczył donośnym głosem, że się nie mają czego obawiać, że ani ździebełko słomy im nie zginie, a obróciwszy się do swoich, coś im surowo niezrozumiałym zapowiedział językiem. Kiedy ich spostrzegła cyganka, siedząca w tej chwili pod piecem, natychmiast zerwała się jakby

ją kto oparzył i długo machając na wszystkie strony rękami, coś im rozpowiadała, a pokazywała na siebie, na dziecko i na Wojciecha.

Cygani słuchali jej z największą uwagą, a najwięcej uważał młody cygan, którego była żoną; kiedy skończyła opowiadania, wszyscy coś długo pomiędzy sobą radzili; nareszcie zbliżył się stary ślepy cygan do Wojciecha i dziękował mu po tysiąc razy i inni toż samo na rozmaite głosy.

Tymczasem jedno z nich wysunęło się do karczmy, przyniesiono małą flaszkę gorzałki, kilka łokci kiełbasy i cygany gwałtem zaczęły częstować gospodarzy, a tymczasem jeden z nich grał na skrzypcach, drugi na bańdurce, a chłopak wyskakiwał po ziemi kozaka, i wywracał rozmaite koziołki, aż ludzie się na to poschodzili i zaczęli przypatrywać.

Tymczasem ślepy cygan, kazał się podprowadzić do komory dla pogadania na osobności, a kiedy Wojciech uczynił zadość jego prośbie, rzekł mu do ucha:

— Wyrządziliście dobrze jednej naszej kobiecie, już my się wam za to odpłacimy, i przyprowadzimy dla was takich źrebców jakich ziemia jeszcze nie widziała, a już nie obawiajcie się — dostaniemy je gdzie za Bugiem o jakie 50 mil, to zjadłby djabła, ktoby tu po nie trafił.

Na tę mowę, Wojciech wyrwał z gniewem rękę z rąk cygana i rzekł:

— Jeżeli mi jeszcze raz co podobnego powiecie, to was zaprowadzę do gminnego i powiem, żeby was kazał powiązać i jako złodziei, transportem odesłać do miasta.

Nie czekając odpowiedzi, odwrócił się na stronę.

Stary cygan opowiedział widać swoim tę rozmowę, bo wszyscy utkwili wzrok zdziwiony w Wojciecha, i coś kiwając głowami pomiędzy sobą mówili.

(Dokończenie nastąpi.)

O J C I E C K A P U C Y N

— CZYLI —

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

Udał się więc z rana za pozwoleniem Przeora do cudzoziemca. Pozdrowiwszy go mile, zaczął mówić w te słowa:

— Jak mi już wiadomo, szlachetny Panie, jesteście przyjacielem domu, do którego się już liczyć nie mogę. Powiedzcie więc z łaski swojej, cóż mam zrobić dla zadowolenia matki mojej? Wszakże Wam to zleciła.

Taki początek podobał się Edwardowi i nappełnił go nową nadzieją.

— Księżę Archaniele, — rzekł tenże, — Hrabina Lesley życzy sobie powrotu swego syna. Ciągłe go od dawna oplakuje. Nie ma dla niej ani spokoju, ani już szczęścia na świecie. Dni jej żywota są pełne goryczy, każda noc jej spoczynku, jest dla niej bezsennością i długim rokiem samych wzdychań i płaczu.

— Ciężko mię to zasmuca, — przerwał Archaniół, — lecz Bóg ją tylko pocieszyć może. Życzę ja tego mej matce z całej duszy i modlę się o to do Boga niepojętego w skrytości wyroków swoich.

— Ach, księżę Archaniele! I Bóg jej nie pocieszy. Tylko Wasz powrót może jej rozpacz ukoić.

— O, gdyby mój powrót duszę jej mógł uleczyć, natychmiastbym do niej pospieszył, lecz to tylko na to, aby jej duszy zbawienie wieczne zapewnić.

— Cóż słyszę! zawołał Edward z żywością, wyrażającą wielkość nadziei jego.

— Jak Wam wiadomo, — rzekł dalej zakonnik, — należy matka moja do sekty, sprzeciwiającej się w najważniejszych artykułach wiary naszej katolickiej. Doznawszy szczególnej łaski miłosierdzia Bożkiego, doszedłem szczęśli-

wie do poznania prawdy, i to jedynej tylko prawdy, jakoż prawda jedna tylko być może. Cała okropność niebezpieczeństwa, jakie duszy innowierców zagraża, stanęła przed memi oczyma. Dla tego to poświęciłbym chętnie i życie mi drogie, gdyby się matka moja wyprzysiędz chciała błędów swej wiary.

— W tej myśli, — rzekł na to Edward, — nie możecie wrócić do Hrabiny Lesley!

— A więc się z nią już więcej nie zobaczę, — odpowiedział Grzegorz z westchnieniem, moją pociechą będzie odtąd modlitwa o jej zbawienie.

— Posłuchajcie mię jeszcze, księżę Archaniele! — rzekł Edward, — Matka Wasza postąpiła sobie z Wami może za surowo. Zatrzymała Wam wprawdzie dochody z dóbr Waszych, lecz dziedzictwo Wasze po ojcu zostaje pod najstaranniejszym zarządem i będzie wam zwrócone, skoro sami wrócicie. Wiem nawet dobrze, iż Hrabina Lesley obmyśliła dla Was zawód najświetniejszy, gdyż macie prawo do najwyższych w kraju dostojenstw.

— Przepraszam, — przerwał zakonnik! — Takie rzeczy są dla mnie zupełnie obojętne. Obecny mój stan dostatecznie dowodzi, jak mało mię świat swym blaskiem i swą próżnością zajmuje.

— Chcecie, więc, — rzekł Edward, — aby Wasza matka z tęsknoty i żalu z Waszej przyczyny umarła? Lecz cóż może przechodzić uczucia, jakieśmy winni tej, od której życie mamy?

— Już samo słowo Boże, mój Panie! — odpowiedział zakonnik.

Ta niespodziewana odpowiedź z wyrazem

zupelnej spokojności zmięszala nieco Edwarda. Lecz zastanowiwszy się chwilę, rzekł dalej:

— Matka Wasza nie żąda, abyście się swej wiary wyrzekli, ale chce także pozostać przy swojej. Zaklina Was tylko na wszystko, abyście porzucili stan, poniżający godność imienia Hrabów Lesley, które Wy w dawnej świetności i blasku utrzymywacie. We wszystkim będzie Wam wolno postępować sobie według upodobania. O bądźcie jej powolnym a pochwali Was i Wasze sumienie! Tak bowiem położycie kres łzom matki strapionej i osłodzić schyłek jej życia dotąd tak smutnego radością. Ach, spieszcie się do niej po ostatnie błogosławieństwo, nim w grobie spocznie na wieki!

Te słowa wzruszyły zakonnika głęboko, że aż mu łzy w oczach stanęły. W tem nagle przerwał milczenie temi słowy:

— Powinność mię woła; muszę się więc tymczasem rozstać z Wami; lecz wkrótce się zobaczymy. Wtedy sami osądzicie, czy mogę być życzeniom matki powolny.

Nie uszło to uwagi Edwarda, jakie wrazenie słowa jego na Archaniele zrobiły. Ztąd się spodziewał, że mu jego usiłowania na dobre wyjdą.

Wkrótce oznajmiono mu, że dworzanin księcia Urbino ma jakieś do niego zlecenie. Dowiedziawszy się bowiem książę o przyjeździe cudzoziemca ze sławnego rodu Baronów Torey, kazał go prosić o przyjęcie mieszkania w pałacu książęcym. Był to bowiem Pan, lubiący być gościnnym dla przybywających do jego kraiku, szczególnie zaś dla ludzi światłych i mądrych, z którymi obcując, wiele się jeszcze dobrego mógł nauczyć. Za każdą sposobnością pytał się o zwyczaje innych krajów, o prawa i szczęście obcych narodów. Co najlepsze, wybierał na ulepszenie bytu w swej własnej krainie. Poddanych bowiem swoich uważał, jak własne dzieci, których chciał doprowadzić do szczęścia jak największego.

Edward prosił dworzanina o podziękowanie za tak zbyt wielki zaszczyt, dodając, iż czempredziej pośpieszy do Jego książęcej Mości z powinnym mu hołdem. Nie omieszkał się więc udać do pałacu, gdzie go zaraz do księcia przypuszczono.

Ze zwykłą sobie uprzejmością przyjął go książę u siebie, ofiarując mu osobiście mieszka-

nie w pałacu swoim i zapewniając go o najszczerzej u siebie gościnności.

— Jaśnie Oświecony książę! — rzekł Edward. — Wyznaję, że tak szczytny zaszczyt mają cześć dla Waszej książęcej Mości powiększa! Jednakowoż zechce Wasza książęca Mość miłościwie darować, że się ośmielam za tak wspaśniałą i chlubną dla mnie łaskę dziękować. Muszę bowiem w klasztorze pozostać dla uszczenia tam sprawy bardzo ważnej.

— Jeżeli Wam w czemkolwiek pomódz mogę, proszę mi powiedzieć.

Na to odpowiedział Edward:

— Miłościwy Panie! Ośmielony nieporównaną wspaniałomyślnością Waszą i pokładając wszelkie we Waszej książęcej Mości zaufanie, wyznam otwarcie przyczynę mego przyjazdu do Urbino. Pewien kapucyn w klasztorze, nazywający się teraz Ojcem Archaniołem, pochodzi z rodu, w Szkocyi od wieków najznakomitszego. Właściwie nazywa się on Grzegorzem Lesley i jest jedynym dziedzicem po sławnym hrabim tegoż nazwiska. Matka Archanioła tęskni się za nim niewymownie, rozpacza, iż został Kapucynem i pragnie jego powrotu. Los najświetniejszy oczekuje go w ojczyźnie, skoro zrzuci z siebie suknie upodlające go w oczach wszystkich krewnych. A lubo inną wyznaje wiarę, matka mu w tym względzie żadnych nie chce robić przykrości. Tego jedynie żąda, aby kapturem zakonnym wzgardził.

— Jak słyszę, podjęliście się bardzo trudnej sprawy! — rzekł książę. — A jeżeli mam powiedzieć prawdę, muszę oświadczyć, iż powątpiewam o pomyślnym skutku usiłowań Waszych. Skoro młody hrabia Lesley znalazł słuszną przyczynę do zrzeczenia się blasku, jaki urodzenie, bogactwo i dostojęstwa dać mogą; jeżeli woli przepędzać dni swoje w oddaleniu od świata i służyć jedynie Bogu całym sercem, — zapewno, jak jestem o tem przekonany, nie uzna swego postępku teraz za mniej godziwy i za mniej chwalebny, jak dawniej, gdyż co kto przedsięwzięmie z rozważą i z namysłem, w tem się wytrwać zwykło do końca. A ów zakonnik wybrał sobie część najlepszą. Droższego skarbu na świecie nie znajdzie. Wszak spokojność sumienia i miłość Boga wszystko przewyższają. Cóż może być miłszego nad ciągle obcowanie z najświętszą wszech istot Istotą! Taka z Bogiem zabawa za wszystko wynagradza.

Moje przywiązanie do wiary katolickiej, która mię wszelkiem uszanowaniem dla siebie napełnia, mogłoby mię spowodować do rady, abyście zaniechali swych usiłowań zupełnie; lecz wolę tę sprawę potężniejszej poruszyć siłą, co sama odniesie zwycięstwo. Proszę się więc nie dziwować, jeżeli rzecz zgoła przeciwnie wypadnie, jak sobie rokujecie. Wtedy to będziecie zmuszeni do uznania owej potęgi, która według wszechmocy swojej sercem włada człowiekiem.

To rzekłszy, uściskał młodego Barona serdecznie i zakończył w te słowa:

— W każdym innym razie chcę Wam być pomocnym, Panie Baronie, lecz w tym razie to darmo. Proszę Was także, odwiedzajcie mię jak najczęściej.

Pożegnawszy księcia, powrócił Edward do klasztoru. Tu się zatopił w głębokim rozmyślaniu. Serce jego kołatało się między nadzieją a bojaźnią. Wszystko zależało od nowej rozmowy z Ojcem Archaniołem. Ztąd przysposabiał się Edward we wszystko, coby tylko posłużyć mogło do odniesienia nad bratem zwycięstwa.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Jakby na spowiedzi opowiedział Archanioł wszystko Ojcu Przeorowi, co ze Szkotem był mówił. Lubo sędziwy przełożony dostatecznie był pewny stałości zakonnika, jednakowoż uważał obecne okoliczności za dosyć ważny powód do zapytania go, co czynić zamyśla.

— Chcę Wam być posłusznym, Przewielebny Ojcze! — odpowiedział Archanioł z pokorą i z niezwykłym zapłonieniem miłego swego oblicza.

— Nie będzie Ci przykro, Ojcze Archaniele, jeżeli się z owym cudzoziemcem już nie zobaczysz? — zapytał Przeor.

— Muszę się przyznać, — odpowiedział Archanioł, — że sam jego widok, sama przyczyna jego posłannictwa, samo usiłowanie mej matki, która mnie niby chciała zapomnieć: wszystko to teraz we mnie wzbudziło uczucia, jakich przed przybyciem Barona nigdy nie doznałem.

— Lecz mam w Bogu nadzieję, — dodał z wyraźną serdecznością, — że nadzwyczajne wstrząśnienie w mej duszy nie obrażą Pana Boga, gdyż Jemu się tylko podobać staram.

— Zdołaż-że to znieść, jeżeli się ze swym ziomkiem już nie zobaczysz? — zapytał go Przeor na nowo.

— Zdołam, Przewielebny Ojcze! — odpowiedział Archanioł: — zdołam to przy Bożkiej pomocy. Może to największa próba, jaką mię dotąd doświadcza, jednakowoż na wszystko się odważam dla osiągnięcia od Zbawiciela świata tej łaski, aby moja matka na drogę zbawienia powróciła.

Na to rzekł Przeor:

— Bóg wynagradzający każde poświęcenie przywiedzie i Twoje życzenie do skutku. Zobaczysz się z Baronem Torey nie tylko na to zezwalam ale Ci nawet to radzę. Dopóki mu się tu podobać będzie, dopóty możesz ciągle z nim obcować, o ile to Twa powinność dozwoli. Mów z nim otwarcie! A ile się razy sposobność zdarzy, opowiadaj mu wszystkie okoliczności, które Cię spowodowały do szukania Wiary naszej świętej. Wszak powinniśmy się starać o rozszerzenie światła i powinniśmy zasiewać ziarno Niebieskiego Gospodarza. Bóg-ci-to może sprawić, że jedno szczęśliwe słowo i zakamiałego grzesznika nawróci. Teraz wolno Ci iść do Barona. O niech Ci Bóg towarzyszy i doda swojej siły i łaski!

Archanioł zaś poszedł do swej celi, gdzie ledwie co stanął, aż go dał młody Baron pytać, czyby się z nim przed odjazdem jeszcze raz nie mógł widzieć. Co usłyszawszy, poszedł zakonnik do celi znakomitego Szkota.

— Przepraszam bardzo, — rzekł Baron Torey, idąc mu z uprzejmym uśmiechem na przeciw, — przepraszam, że Wam oto znowu w spełnieniu obowiązków przeszkodziłem. Lecz szczerą, z jaką mię tu w tym klasztorze przyjęto, ośmieliła mię do tak otwartego sobie postąpienia!

Na co odpowiedział Archanioł:

— Szlachetny Panie! — przyszedłem ja tu

do Was za pozwoleniem Ojca Przeora i wolno mi z Wami nawet niejaki czas pobawić, a jeżeli to dla Was przykrością nie będzie. Bardzo ja lubię z Wami rozmawiać, jako z przyjacielem matki mojej, która mi do ostatniej chwili życia mojego drogą być nie przestanie, a której ja to wiecznej szczęśliwości z całej duszy życzę.

— Księżę Archaniele! — odrzekł Edward, — od Was jedynie zależy szczęśliwość matki Waszej, szczęśliwość tak doczesna, jako też i wieczna.

— Szczęście na tym świecie nie jest doskonałe, a ucieka szybko, jak strzała, i zostawia tylko gorycz po sobie. Lecz szczęśliwość tamtego świata jest czysta, jak śnieg świeży, a wielka bez granic, jak sam Stwórca, co ten ogrom stworzył. Życzyłbym Wam poznać tę szczęśliwość błogą, szlachetny Panie; życzyłbym to i tej, która mię porodziła.

— Matka Wasza, — rzekł Edward, — nie może pojąć, co Was nakłonić mogło do oddania się życiu tak uciążliwemu. Bo zaiste, nie możecie sobie pozwolić ani jednej uciechy, gdyż Wasz zakon ciągle tylko umartwienia przepisuje.

— Reguła nasza jest prawdziwie ostra, lecz zabrania tylko tego, coby dla duszy mogło być szkodliwym. Wolno nam jest unosić się na skrzydłach niewinnej radości. Powinniśmy nawet serce nasze rozweselać, gdyż dusza w świętej rozkoszy najgoręcej uwielbia Dawcę wszech rzeczy. Całe przyrodzenie z tysiącami swych powabów i uroków rozłożone również przed naszymi oczyma, jak przed naszymi ludźmi. Kiedy Pan światów wiosnę na ziemię zesła, zdobiąc ogrody i pola w zieleń jak najświeższą i upiększając je w rozliczne, różnobarwne kwiaty, a kiedy wszystko ożywiający słońce jasnym swym promieniem w całkowitej wspaniałości goreje: — wtedy się weselimy i podziwiamy sprawcę wszystkich tych uroków i cudów, które na rozkaz, na skinienie tegoż wszechmocnego Pana w zmianach pół roku po sobie następują. Podobnie napełnia się serce nasze radością, kiedy we wieczór widzimy na sklepieniu nieba miliony gwiazd przyswiecających, które od wieku do wieku wielkość i wszechmocność Boga opowiadają. Takimi to zachwycone widokami, unosi się serce nasze do Najwyższego i składa mu dzięki za nieprzebraną, miłość, za nieograniczoną dobroć, czem On, Stwórca i Pan wszystkich rzeczy,

nas nędznych i niegodnych śmiertelników obdara.

— Lecz nie miałyżby się Wam, — rzekł Edward, — wszystkie te niewygody i uciążliwości życia klasztornego choć czasem naprzykrzyć?

— Życie klasztorne, — odpowiedział Archaniół, — ma prawdziwie swe dolegliwości; lecz któryż stan jest wolny od tego? Wszakże nawet królowie nie żyją ciągle w szczęściu, niczem nieprzerwanem. Cierpienia, troski, niepokój z różnej przyczyny wkradają się w łono, chociaż i purpura pierś okrywa. Ileż to już razy zostało łzami okropione łożo, na którym głowa ukoronowana spokojnie spoczywać miała? Nie mamy przykładów, jako już Monarchowie przygnębieni ciężarem zabiegów rządu i różnych sprzeciwów, dobrowolnie z tronu zstąpili? Wszak Karól Wielki, ów potężny Cesarz niemiecki, złożył dobrowolnie koronę i wstąpił do klasztoru. A możnaż nazywać szczęśliwym dworaka, tego niewolnika w złotych szatach, który się ciągle obawiać musi, aby nie popadł w niełaskę u swego Pana? Możeż być ten szczęśliwym, którego duszę chuć chwały lub zazdrość udręcza? Na jakież niebezpieczeństwa, trudy i niewygody jest wystawiony żołnierz? — O, daleko mniej ma do znoszenia zakonnik, bo co cierpi, cierpi to z własnej chęci, a przez to staje się i najprzykrzejsza gorycz rajska słodyczą. Sama myśl, iż się z miłości ku Jezusowi umartwiamy, łagodzi nam wszelkie nawet przykrości. A dla czegożby nie mieli sami chętnie poświęcić wszystkiego dla Pana nad pany? Iluż to przyjemności rzeka się urzędnik dla podobania się doczesnemu zwierzchnikowi? Na samą myśl, iż wszystkie swoje chęci i uczynki Bogu ofiarujemy, napełnia się dusza nasza rozkoszą, której opisać nikt nie zdoła a jakiej ja sobie dawniej nawet wyobrazić nie umiałem. Przecię nie sądzicie, żeśmy obojętni na znoszenie udręczeń ciała swojego. Post, niewywczas, zaparcie się samego siebie przy wykonywaniu woli swych przełożonych i nam także dolegają. My zaś to wszystko uważamy za sposób zasłużenia sobie na niebo. A każdy musi przyznać, iż taka nagroda i większej daleko ofiary jest godna.

Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Na drugi dzień o dziewiątej z rana uderzył Viomenil (który także służył w konfederacji barskiej) na angielską redutę, mimo jednak wyborne-
go powodzenia oddziału, nieprzyjaciel nie dał się przełamać. Kościuszki nie było w tej chwili, wódz bowiem wysłał go był pod Gloucester dla zakrycia legii Lauzuna, na którą nacierał angielski generał Tarleton. Kościuszko wrócił dopiero na wieczór z wyprawy. Pamiętał jednak dobrze, co powiedział Washingtonowi. Nie zważając więc, że to już noc, zabiera czempredziej swoich strzelców i uderza na baterię na lewym skrzydle. Anglicy odparli go raz, lecz on ponawia atak, chociaż ranny w rękę i nie ustąpił dopóty, dopóki nie zabrał trzech dział i dwóch sztandarów, i nie zmusił nieprzyjaciela do opuszczenia reduty. — Wiemy już o tem, że Cornwallis w kilka dni potem (19 października) podpisał kapitulację, na której się kończyła wojna w większych rozmiarach a kolonie odzyskały pożądaną niepodległość.

Niezwłocznie potem pisał Franklin o Kościuszcze: „Młody ten Herkules zadławił w kolebce swojej drugiego już węża. Pierwszym był Bourgoyne pod Saratoga a drugim Cornwallis.

Kongres po skończeniu wojny rozwiązując armię, nie zapomniał o Kościuszcze. Na przedstawienie Washingtona mianował go generałem brygady, a stowarzyszenie Cincinnatów wręczyło mu order Cincinnata. Nadto nadano mu obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, wyznaczono pensję i znaczne darowano grunta. Washington, Franklin, Jefferson cenili go wysoce, generałowie Gates i Greene dochowali przyjaźni do końca życia, a ludność amerykańska, gdy po raz drugi wrócił do Ameryki z niewoli petersburgskiej, przyjęła go z uniesieniem a zaprzągłszy się do powozu, sama ciągnęła jako tryumfatora.

Po ukończeniu wojny był Kościuszko przez niejakiś czas komendantem twierdzy Westpoint, gdzie dzisiaj znajduje się szkoła kadetów, poczem wrócił do ojczyzny. W Westpoint wystawiono mu później pomnik.

Oto jest w krótkości opisana historia pobytu Kościuszki w Ameryce.

Kazimierz Pułaski znany z konfederacji barskiej, opuścił Polskę dla przyczyn, nad którymi tutaj się nie będziemy rozwodzili, i udał się do



Kazimierz Pułaski.

Turcyi, a potem do Francyi, do której przybył w lutym 1777 r. Wojna amerykańska budziła wtenczas w Paryżu żywe bardzo zajęcie. Za przykładem

młodego La Fayette szło tam wielu ochotników, a byli i Polacy w ich liczbie. Ten ogólny prąd opinii utwierdził Pułaskiego w powziętej już myśli, a rady i zachęty Benjamina Franklin zdecydowały go ostatecznie. Jakoż wkrótce opuścił Paryż, w Havre wsiadł na okręt i w dniu 20 sierpnia r. 1777 wylądował w Ameryce w towarzystwie dwóch przyjaciół—Polaków.

Zasłużona sława, jaka poprzedziła Pułaskiego, skłoniła rząd amerykański do powierzenia mu zaraz dowództwa nad całą konnicą, a bliższe ocenienie jego przymiotów zjednało mu serdeczną życzliwość Washingtona. Pod jego rozkazami odbył on pamiętną kampanię nad brzegami rzeki Delaware, a gdy kapitulacja jenerała angielskiego Bourgoyna zawiesiła na czas jakiś większe działania wojenne, stanął Pułaski kwaterą w Trenton, gdzie wkrótce przybył do niego w odwiedziny młody Tadeusz Kościuszko, walczący już od roku w szeregach amerykańskich. Nie znali oni się dawniej, lecz łącznie zbliżyły się do siebie te dwie bohaterskie dusze, to też przy rozstaniu wieczną sobie poprzysięgli przyjaźń, a tak dziwnem zrządzeniem losu, na odległej ziemi wolności związek wzajemnej sympatii połączył z sobą tych dwóch nieśmiertelnych obrońców naszej niepodległości narodowej.

Wśród tych wypadków zaufanie Washingtona w Pułaskim wzrastało z dniem każdym, a to najważniejsze jego znaczenie namnożyło mu zawistnych. Oburzyła go ta niewdzięczność krajowców i dotknęła bolesnie; złożył też zaraz dowództwo konnicy i zajął się utworzeniem osobnego legionu, do którego powołał na oficerów samych tylko Polaków i Francuzów. Z tym małym korpusem prowadził on najprzód długą i zaciętą walkę z Indianami i partyzantami angielskimi, a potem, na rozkaz Washingtona udał się na południe do armii jenerała Lincoln.

Wśród długiego tego pochodu, kiedy już znajdował się w południowej Carolinie, doszła go wieść, że miasto Charleston i mała w niem załoga w największem znajduje się niebezpieczeństwie; zwrócił się też zaraz Pułaski, szybkim krokiem przyszedł na odsiecz, rozbił Anglików i dostał się do miasta, gdzie jen. Moultrie i uradowani mieszkańcy z najwyższym przyjęli go zapalem. Po kilkugodzinnym tylko odpoczynku, legion Pułaskiego opuścił Charleston, odparł zastępującego mu drogę nieprzyjaciela i w kilka dni potem połączył się z Lincolnem w Georgii, gdzie ważne naówczas zbliżały się wypadki.

Opinia we Francji domagała się już oddawna czynnej dla Ameryki pomocy, a rząd w końcu uległ jej wpływowi i w początku 1779 roku wielka flota francuzka stanęła przy brzegach Georgii. Potężna ta pomoc zapewniała Amerykanom niezawodne zwycięstwo; rozumiała to Anglia i zaproponowała układy, ale gdy te odrzuconemi zostały, wszczęła się na nowo wielka i zacięta walka. Z pomiędzy

punktów obronnych zajmowanych tam przez Anglików, jednym z najważniejszych było miasto nadmorskie Savannah, opatrzone w silne baterye i obszerną cytadelę.

Podstąpił pod nie Lincoln, a po kilkadziennem bombardowaniu postanowił wzięść je szturmem. Wszystkie ku temu środki przygotowano w pierwszych dniach października; główny atak powierzył Lincoln kolumnie francuzkiej, prowadzonej przez hr. d'Estaing, a w pomoc jej działania przeznaczył on legion Pułaskiego.

Lecz posłuchajmy co powiada świadek nacoczny — Polak: „Od chwili przybycia naszego do armii Lincoln Pułaski zwykle wesół, towarzyski, posmutniał, stronił od ludzi, a kiedy go pytał o powód tej zmiany, to z początku mnie zbywał, aż na silne naleganie moje zwierzył mi się, że ma smutne dla siebie przecucie blizkiego zgonu, zginął mu bowiem szkaplerz, dar matki, który zawsze na piersiach nosił. . . .

Na wyniesieniu góruje nad Savannah cytadela a wzdłuż miasta posypane baterye broniły do niego przystępu. Na parę dni przed szturmem Pułaski wraz z Lincolnem rekognoskując roboty nieprzyjacielskie, dojrzał lukę między szanćami; wskazał ją jenerałowi i zaraz oba zgodzili się na to, ażeby w czasie szturm kawalerya tą przerwą wpadła do miasta i z tyłu uderzyła na Anglików. Ten zuchwały atak podjął się wykonać Pułaski, a Lincoln do szczupłego naszego legionu dołączył kilkaset wybornej jazdy.

W dniu 9 października rozpoczął się na całej linii straszliwy ogień armatni, a Pułaski z okiem wlepionem w baterye angielskie upatrywał chwili stósownej do natarcia, a kiedy wiatr, który się właśnie zmienił, pędząc kłęby dymu, zasłonił nas na chwilę przed okiem nieprzyjaciela, podniósł on szablę w górę i z tą fantazyą rycerską, co była podziwem Amerykanów, ruszył z całym zastępem.

W kilku minutach dopadliśmy luki, potem wśród gradu kul i kartaczy, w szalonym biegu mijaliśmy już baterye i czoło nasze już dochodziło pierwszych domów miasta, kiedy padł koń pod Pułaskim, który już więcej nie wstał. Pospieszaliśmy do niego, w jednej chwili był na rękach naszych i wtenczas ujrzeliśmy, że kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi obficie krew buchała. Ukochanego wodza zanieśliśmy do obozu naszego. Przywołani lekarze osądzili zaraz, że ratunek był niepodobny, bo kartacz przeszył mu piersi. Wskutek trzeźwienia odzyskał on wkrótce przytomność, poznał nas, cichym głosem dawał ostatnie dyspozycye, następnie odebrał pomoc religijną i w godzinę potem już nie żył”.

Tak umarł Kazimierz Pułaski szermierz wolności w Polsce i Ameryce.

(Dalszy ciąg nastąpi.)